„EKRAN" Nr. 44 (499) 30. 10. 1966 r.



Marta w „Cierpkich głogach"

TRIUMF AKTORKI

Barbara Krafftówna, jedna z najwybitniejszych naszych aktorek teatralnych i filmowych, w swojej dotychczasowej karierze artystycznej stworzyła przepyszną galerię typów kobiecych. Niezapomniana Stefka z „Popiołu i diamentu", tragiczna Felicja z filmu „Jak być kochaną", nieco groteskowa lekarka z „Ich dnia powszedniego", zawiedziona dziewczyna z filmu „Nikt nie woła" i zabawna suflerka z filmu „Jutro premiera". Znakomite kreacje w wielu spektaklach Teatru TV i Kabarecie Starszych Panów przyniosły aktorce ogromną popularność i zasłużone peany krytyki.

Wszystkie te role są krańcowo od siebie różne. Nie można rozpatrywać jej osiągnięć artystycznych pod kątem typu, który stworzyła na użytek ekranu, pod kątem podobieństwa postaci. Grała wiele ról i każda z nich stanowiła typ zupełnie odrębny, żyjący wyłącznie swoją ekranową egzystencją. Gdy gra Felicję to jest w pełni i wyłącznie Felicją. Obdarza swoją bohaterkę sposobem bycia i myślenia tamtej dotychczas obcej sobie kobiety. Kiedy wkrótce potem przeistacza się w kobietę lekkich obyczajów, jest już krańcowo inna. Znakomicie inna od tamtej poprzedniej. Nie powiela żadnego typu, ani nie kontynuuje żadnej określonej postaci czy mitu aktorskiego. Jej mit to przede wszystkim mit dobrego, wytrawnego aktorstwa, inteligencji i talentu.

Powiedziała mi kiedyś, że chciałaby grać wszystkie role; że uważa, iż aktor ma prawo do rozwijania się we wszystkich kierunkach; że właśnie fakt owej wszechstronności odróżnia go od inżyniera wykształconego w jakiejś wąskiej specjalności. Mówiła, że nęci ją Lady Makbet i że ona, kobieta o aparycji Ofelii w swoim artystycznym przekonaniu ma prawo do próby, do eksperymentu.

A jeżeli już uparcie szukać jakiegoś łącznika, który uogólniałby cechy jej aktorstwa — niewątpliwie będzie to kobiecość, którą to szczodrze obdarza kreowane przez siebie postacie. Kobiecość ta nie jest jednak z kategorii tej, która niszczy, spala, rujnuje — zupełnie inna, przepełniona ciepłem, liryzmem i delikatnością. Bohaterki Krafftówny nie są nigdy agresywne i natarczywe. Ktoś powiedział, że brak im seksu. Wydaje mi się, że nie miał racji. Bowiem pojęcie seks nie jest przecież związane wyłącznie z rozmiarami biustu demonstrowanego na ekranie i drapieżnością omdlewających spojrzeń. Te kruche, trochę nieporadne istoty, które proponuje Krafftówna, są stokroć bardziej kobiece niż owe pseudowampy wciąż jeszcze snujące się po ekranach naszych kin. I zarówno Felicja z filmu „Jak być kochaną" jak i Marta z „Cierpkich głogów", to kobiety tęskniące do miłości, kobiety przepełnione tą miłością i żyjące trochę jak gdyby z przeświadczeniem klęski prawdziwych uczuć.

Na ekrany weszły ostatnio dwa filmy, które są pełnym sukcesem aktorskim Barbary Krafftówny. Oto Florentyna — dziewczyna lekkich obyczajów z filmu „Don Gabriel". Prościutka, głupawa a zarazem sprytna, przewidująca i przebiegła. Zabawny konglomerat bezmyślności i specyficznego rozumku. Wyzywający sposób bycia, umiejętność wygrania atrybutów kobiecości — oto cechy określające osobowość panny Florentyny. Tej kurtyzany o duszyczce mieszczki i umyśle zepsutego dziecka. Fakt, iż rola ta, zajmująca w scenariuszu niewiele miejsca, wybiła się na plan pierwszy jest zasługą Krafftówny. Pięknie a zarazem niezwykle logicznie i wnikliwie przeprowadziła aktorka całą sprawę udanej miłości do don Gabriela. Miłości, w którą nawet — gdyby nie końcowe wyjaśnienie Doga Leśniewskiego — bylibyśmy już skłonni uwierzyć.

A oto druga rola Krafftówny — Marta w filmie „Cierpkie głogi". Jakże inna od tej, którą odtwarza w „Don Gabrielu". Podczas gdy Florentyna jest jak gdyby cały czas rozkojarzona, nieopanowana w gestach i sposobie bycia, trochę nawet wulgarna — to panna Marta, nauczycielka wiejska jest jej absolutnym przeciwstawieniem. Skupiona, opanowana, pełna wdzięku nie kolidującego jednak z godnością kobiety i nauczycielki. Rozbiegane, agresywne oczy panny Florentyny mają zupełnie inny wyraz aniżeli mądre, inteligentne spojrzenie wrażliwej i myślącej Marty.

Ten pozorny chłód Marty maskuje jednak jedynie ogień wewnętrzny, który spala tę kobietę młodą przecież i tak pełną miłości. Niekiedy jednak Marta-Krafftówna zrzuca maskę, przestaje być „panią", „naszą panią" i oto tańczy pod takt gorących rytmów afrykańskich. Gnie się i kołysze w biodrach i jest już wtedy tylko kobietą. Dziewczyną o błyszczących oczach wciąż przecież czekającą na miłość.

Obie te role zasługują na uwagę zarówno widza jak i krytyka, ale ze względu na charakter kreowanej postaci i rozmiary roli — postanowiliśmy zapytać aktorkę o tę drugą. O Martę. O piękne, ludzkie studium człowieka i delikatny kobiecy rysunek psychologiczny tej postaci, którą stworzyła na ekranie Barbara Krafftówna.

— Czy zastanawiałam się nad prawdopodobieństwem tej postaci? Nad sprawą dziewczyny, która zrezygnowała z miejskiego wygodnictwa na rzecz trudnej pracy wiejskiej nauczycielki? Chyba nie. Po przeczytaniu scenariusza filmu „Cierpkie głogi" zastanawiałam się przede wszystkim nad problemem ludzkich wartości Marty. Nad prawdą rysunku psychologicznego tej postaci. Wartości moralne bowiem, które reprezentuje Marta, wydały mi się niezwykle interesujące i ponadczasowe. Interesujące dla mnie jako aktorki i kobiety. Drugi problem stanowiło niewątpliwie znalezienie pełnego porozumienia z reżyserem. Dogadania się w sprawach niejasnych, niepewnych. W wypadku filmu psychologicznego problem dogadania się z reżyserem wydaje mi się najważniejszy, pierwszoplanowy. Stanowi podstawę całej przyszłej roboty filmowej. Reżyser bowiem na etapie pracy nad scenariuszem i scenopisem wymyśla sobie zwykle daną postać, jeżeli jednak nie przedyskutuje jej z odtwórcą, jeżeli nie wyjaśnią sobie nawzajem wszystkich niejasności to pozostaną puste miejsca — jakiś margines, który w późniejszej robocie filmowej wykryje owe niejasności, wszystkie fałsze i sytuacje, co do których aktor miał wątpliwości. Każdy aktor z dyplomem jest wprawdzie przygotowany zawodowo na zagranie sytuacji, spojrzeń i myśli, które zaleci mu reżyser, ale te nie wypowiedziane niepewności w odpowiednim momencie na pewno ujawnią niezdecydowany wyraz jego twarzy niepewnej własnych myśli. Z tym jednak zastrzeżeniem, że nie idzie mi tu wcale o wyłącznie aktorskie racje, a o dyskusję obu zainteresowanych stron. A już ostateczne racje wyjaśnia zwykle ten trzeci najbardziej obiektywny i wrażliwy sędzia. Ekran filmowy. Przy tworzeniu postaci staram się też kierować swoją własną kobiecą intuicją. Jak ja zachowałabym się w danej sytuacji, jak bym zareagowała czy postąpiła. Oto przykład z filmu „Jak być kochaną". Realizowaliśmy właśnie scenę, w której Felicja przychodzi do knajpy, by po raz ostatni już chyba ponowić próbę odzyskania ukochanego. Reżyser prosił bym swoje kwestie mówiła patrząc prosto w oczy partnera. Wzbraniałam się przed tym. Uważałam, że żadna kobieta w takiej sytuacji nie zachowa się w ten sposób. Proponowałam moją własną wizję tej sceny. Po krótkiej dyskusji z reżyserem postanowiliśmy zrealizować dwa ujęcia. Jego i moje. Okazało się, że rację miał reżyser; że wymogi techniki filmowej różnią się niekiedy od intuicji i koncepcji aktora.

Niewątpliwie więc zachowanie zdrowego rozsądku obu stron i ustępstwa na rzecz techniki filmowej to podstawa tej dyskusji, do której ja osobiście przywiązuję ogromną wagę.

Powracając jednak do roli Marty to wydaje mi się, że autorka pierwowzoru literackiego opisała pewne interesujące ją zdarzenie wcale go nie uogólniając. Marta nie jest apostołem sprawy nauczyciela wiejskiego. Nie jest także świętą z kagankiem oświaty. Jej sprawa to studium nad postaciami i zdarzeniami. Ludzkie studium postaci integralnie związanych ze środowiskiem. Sprawy jakie toczą się pomiędzy Martą i Gilarzem to przede wszystkim problem miłości. Stosunku pomiędzy kobietą i mężczyzną. Wzajemnych zabiegów i wybiegów będących niewątpliwie grą miłosną. Najpierw jest to miłość nieuświadomiona, potem znów zagłuszona ambicją kobiecą, a chyba także i profesjonalną. Marta moim zdaniem jest racjonalistką. Jest mądra i rozważna wobec uczniów, taktowna wobec współpracowników i otoczenia, pełna rezerwy wobec chłopca, z którym flirt traktuje jedynie jako zabawę. Ta rozwaga i skłonność do autoanalizy staje się zgubna w jej życiu uczuciowym. W braku odwagi i ustawicznym lęku narażenia się na śmieszność. Mimo przeświadczenia, że Gilarz kocha Martę, ona wciąż ucieka najpierw powodowana nadmiarem urażonej ambicji, potem znów z lęku o to, jak zostanie przyjęta.

Sprawa Marty i Gilarza. Problem Marty przypomniał mi trochę Madzię i Szczęsnego. Tylko, że tym razem ich trudne, wzajemne sprawy toczą się dziś — w czasie, w którym wciąż uczymy się żyć.



Florentyna w „Don Gabrielu"

WIESŁAWA CZAPIŃSKA